W WOLNEJ POLSCE

TYGODNIK WOJSKA POLSKIEGO NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE

M. p. niedziela, 7 czerwca 1942 r. Rok III Nr. 21 (398)



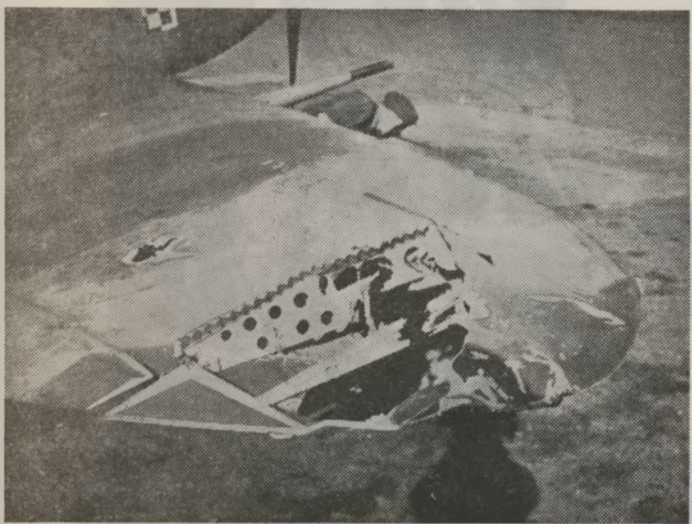
Ks. Gloucesteru w towarzystwie gen. dyw. Zająca i gen. McConnella odbiera defiladę oddziałów W.P. na Śr. Wschodzie

TREŚĆ ZESZYTU

Z walk lotniczych



Nocne bombardowanie



Polski „Spitfire“ doprowadzony do bazy mimo ciężkiego uszkodzenia

Wydawca: Samodzielny Referat Oświaty i Kultury D-twa W.P.Ś.W., Sekcja O. i K. Adres Redakcji i Administracji: Polish Forces in Middle East.

Drukarnia Azriel, Tel-Aviv, Raanan 22.

KU WOLNEJ POLSCE

TYGODNIK WOJSKA POLSKIEGO NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE

M. p. niedziela, 7 czerwca 1942 r. **Rok III Nr. 21 (398)**

POŻEGNANIE Z ZAŚCIANKIEM

Naród polski nigdy jeszcze w ciągu swych dziejów, które obfitowały przecież w tyle doniosłych wydarzeń, nie zdobywał się na tak powszechny wysiłek wojenny jak obecnie. Nigdy jeszcze jego decyzja i postawa nie zaważyły tak głęboko na wypadkach dziejowych. Wszczęty w dniu 1 września 1939 roku na ziemiach polskich bój rozwinął się stopniowo w huragan, który zasięgiem swym objął całą ludzkość.

Po raz pierwszy w naszych dziejach uczestniczymy jako państwo walczące i sprzymierzone w wojnie o rozmiarach tak gigantycznych i o celach przełomowych. Prawda, iż w czasach napoleońskich wojska polskie wiodły bój na wszystkich teatrach walk, gdzie tylko zaprowadziły je orły Bonapartego. Żołnierz polski starał się wydobyć wówczas na światło dzienne niezależną politykę polską, zagrzebywaną stopniowo od czasów Batorego w zaściankowych swarach i sejmikowym warcholstwie. Polska racja stanu ginęła jednak w cieniu napoleońskich podbojów. Jak na zaciężne i najemnicze wojsko zwykł patrzeć cesarz Francuzów na wierne i oddane mu oddziały polskie. Desperacka próba, ponawiana przez powstańców 1830 i 1863 roku, jak i przez wysiłek myślowy Czartoryskich i Wielopolskich, nie dała oczekiwanych wyników. Traktat wiedeński stał się na długie lata grobem Polski jako podmiotu własnej polityki.

Dopiero pierwsza wojna światowa z lat 1914-1918 wyniosła „sprawę polską", dzięki wysiłkowi oręża polskiego, na widownię światową. Szabla polska znowu zabłysnęła nad okopami, która wówczas zorały Europę.

W ciężkich zmaganiach, w wielkim wysiłku mózgów i mięśni polskich wywalczana była w trudzie i znoju polska racja stanu, polska niezależna myśl polityczna.

Lecz i te wspaniałe wysiłki zbrojne, choć wiodły nas do wolności, były przejawem inicjatywy niejako indywidualnej wielkich patriotów i wodzów. Nie były, bo być nie mogły, wyrazem woli państwa, jako takiego.

Dopiero do obecnej wojny przystąpiliśmy na podstawie decyzji i woli całego narodu, który postanowił nie ugiąć się przed niemiecką przemocą. Uczestniczymy w niej jako państwo, związane przymierzem z krajami bliskimi mu kulturą i poglądem na świat, z Wielką Brytanią na czele.

***

Nasi dziejopisarze zarzucali nieraz polityce polskiej z czasów przedrozbiorowych nadmierną bierność, nadmierne trzymanie się na uboczu wielkich wydarzeń światowych, nadmierne życie własnymi tylko i czysto zaściankowymi sprawami. Znana jest teza historyczna, że uchylenie się Polski od udziału w wojnie trzydziestoletniej (1618-1648), która podzieliła Europę na dwa wrogie obozy, lecz rzuciła następnie podstawy porządku europejskiego, jaki w ogólnych zarysach przetrwał 150 lat, było głównym błędem polityki polskiej, początkiem upadku państwa, degradującego się do roli biernego, a więc zbytecznego czynnika w koncercie międzynarodowym Europy.

Dziś tego zarzutu polityce polskiej oraz instynktowi naszego narodu postawić nie można. Fakt, że Polacy uczestniczą bez przerwy w wielkim zatargu dziejowym, że walczą na wszystkich frontach i kontynentach oraz że również w kraju, wbrew rachubom wroga, stoją nieugięcie i konsekwentnie na stanowisku, zajętym we wrześniu 1939 r., świadczy aż nadto dobitnie o czynnej postawie Polski. Powszechność tego wysiłku dorównuje rozmachowi największych imperiów świata. Jest wręcz czymś wyjątkowym i na naszym charakterze, na naszych dziejach powinna wywrzeć wpływ mocny i trwały.

***

W historii naszego narodu, w jego postępowaniu i w jego postawie zaznaczały się zawsze dwie tendencje, między którymi obracało się nasze życie. Umiłowanie własnej ziemi i swojskości prowadziło nas nieraz do zasklepiania się w drobnych sprawach zaścianka, w małostkowych utarczkach i nieporozumieniach, do gubienia się w drobiazgach. Przez ileż to dziesiątek lat uprawialiśmy w szlacheckiej Polsce przedrozbiorowej kult własnych wad narodowych. Nie chcieliśmy wówczas wiedzieć i słyszeć o tym, co działo się dookoła nas, odgradzając się od reszty świata chińskim murem różnych uprzedzeń, za którym kryła się gnuśność, a nawet wprost lenistwo, niechęć do wysiłku, na jaki zdobywać się musi każdy naród, o ile nie chce pozostawać w tyle za resztą świata.

Innym jednak razem wybiegaliśmy myślą daleko poza te codzienne sprawy zdobywając się, zwłaszcza w ciężkich okresach, na wspaniałe, uniwersalne koncepcje polityczne,

na nieprzeciętne wzloty ideowe, na czyny porywające swym bohaterstwem i mocą. Świat mówił wówczas o nas, że jesteśmy zapaleńcami Europy, „gorącymi głowami" kontynentu, „natchnieniem świata". Lecz i ta bogata i twórcza tendencja prowadziła nas niejednokrotnie do wynaturzeń w postaci odrywania się od rzeczywistości i oddalania się w dziedzinę ułudy.

Czy wielkość i małość będą zawsze biegunami, wśród których szamotać się będzie bujne życie polskie? Czy nasz romantyczny idealizm oraz pewna przyziemność będą stale uchodziły za przeciwstawne kierunki postępowania narodowego? Czy z obu tych tendencji nie potrafimy wykrzesać potężnej syntezy twórczej, która po odrzuceniu wykoszlawień zachowa wyłącznie ich pozytywne wartości?

Pytania te stają przed nami na tle wojny obecnej, która wymagała od nas zarówno wspaniałych porywów i wielkiego rozmachu, ale która jednocześnie kazała nam zetknąć się z twardą rzeczywistością, z jaką nieraz nie liczyliśmy się, na którą nie byliśmy przygotowani, której nie byliśmy świadomi.

Już dziś każdy z nas szukać musi właściwej odpowiedzi na powyższe pytania, jeżeli nie mamy zmarnować wielkiej, czynionej dziś przez cały naród ofiary. Na nas bowiem, żołnierzy, którzy wrócą do kraju z odległych stron, gdzie zawiodła nas burza dziejowa, spadnie część odpowiedzialności za zabezpieczenie bytu przyszłych pokoleń w sposób lepszy, niż to było udziałem naszej generacji. My będziemy musieli przyjąć ułamek obowiązku zorganizowania życia w wolnej Polsce na miarę obecnego wysiłku przez utrzymanie w czasach pokojowych rozmachu, ujawnionego z taką szczodrością w wojnie obecnej, rozmachu, opartego wszakże na świadomej ocenie rzeczywistości.

***

Żadna bodaj wojna nie postawiła przed narodami kwestii bytu i niebytu w sposób tak stanowczy i surowy, jak obecna. Hitler nie przestał powtarzać, że Niemcy z tej zawieruchy wyjdą albo panami świata, albo całkowicie zniszczeją. Churchill mówi nieprzerwanie Anglikom, że walczą o swe istnienie. Dla nas, Polaków, sprawa nie przedstawia się tak prosto. Wiemy, jaki wyrok przygotowałoby nam zwycięstwo Niemiec. Wiemy też, że pokonanie Niemiec otworzy przed nami olbrzymie możliwości. Lecz jednocześnie zdajemy sobie sprawę, że samo zwycięstwo militarne może nie rozwiązać jeszcze wszystkich zagadnień, koniecznych dla takiego ujęcia życia w wolności, do jakiego dążymy.

Trzy bowiem niebezpieczeństwa staną przed nami po wojnie, zakończonej zwycięskim pokonaniem wroga. Po pierwsze więc, chęć spoczęcia na laurach. Triumf osiągnięty w tak gigantycznej walce będzie wydawał się tak wielki, że gotów nas uśpić w jakimś fałszywym bezpieczeństwie, tak jak uśpił po wojnie 1918 roku Francję, która spocząwszy na wawrzynach, ściągnęła na siebie katastrofę.

Niebezpieczeństwo drugie wypływać będzie z naturalnego i zrozumiałego dążenia do odpoczynku po bezprzykładnym wysiłku wojennym. Tymczasem odbudowa kraju będzie wymagała pracy pod niejednym względem jeszcze większej niż obecnie. Życie w wolnej Polsce będzie niewątpliwie piękne w swej surowości, ale nie — łatwe.

Wreszcie grozić nam będzie rozczarowanie i zniechęcenie, gdy nasze obecne sny o Polsce nie ziszczą się tak, jak sobie teraz w naszych marzeniach wyobrażamy, gdy natrafimy w życiu naszym na trudności przeogromne, komplikacje wszelkiego rodzaju, opory i przeciwności.

Przyjdzie nam wówczas składać drugi egzamin dojrzałości nie tylko z przełamywania przeszkód, ale i z umiejętności zarówno trzeźwego spojrzenia na rzeczywistość, jak i wydźwignięcia się ponad nią w dążeniu do rozwoju i postępu.

Rzeczywistość będzie ciężka. Kraj zniszczony, ludność wynędzniała, warsztaty pracy zburzone, ziemia wyjałowiona rabunkową gospodarką. Wszystko to wołać będzie o pomoc, o troskliwą opiekę, o sprawne kierownictwo. Trzeba będzie dotknąć się silnie tej rzeczywistości i rozpocząć walkę ze wszystkim złem, jakie w niej nagromadził wróg przez lata wojny. Lecz ten nawrót do pracy realnej na własnej ziemi nie powinien stać się jednocześnie powrotem do zaściankowych i małostkowych zagadnień i wąskich widnokręgów myślenia. Nie powinien oznaczać cofnięcia się w przeszłość, do startu, od jakiego rozpoczynaliśmy egzystencję państwową w roku 1918.

***

Poza bowiem odbudową kraju spadną na Polskę tym razem rozległe zagadnienia moralne i polityczne, związane z potrzebą nowego ujęcia życia międzynarodowego w Europie nadbałtyckiej i środkowo-wschodniej. Wytworzenie bezpiecznych warunków egzystencji dla siebie oraz ustalenie współpracy z narodami, żyjącymi na szerokim pasie między Niemcami a Rosją, od Narwiku aż po wschodnią część Morza Śródziemnego, a więc wszędzie tam, gdzie stanęła w tej wojnie stopa żołnierza polskiego, wymagać będzie poważnego wysiłku myślowego i organizacyjnego.

Ciężkie, bolesne doświadczenia, które poczyniliśmy w ciągu ostatnich lat, stać się winny dla nas twórczą szkołą postępowania i myślenia. Nauczyły nas one, że nie mogą być nam obojętne sprawy rozgrywające się na szlakach, przez które szła droga żołnierza polskiego w tej wojnie. Wszędzie tam będzie musiał sięgnąć w okresie pokoju wpływ Polski, wszędzie tam będzie musiała promieniować jej kultura, by wysiłek nasz w tej wojnie nie poszedł na marne, lecz został utrwalony i umocniony. Okazuje się bowiem, że świat stał się w tej wojnie mniej rozległy, niż to się jeszcze niedawno wydawało. Lecz dlatego też będziemy musieli zdobywać się w każdej okoliczności na szeroki oraz na świadomości oparty osąd.

Rozmach myślowy, kulturalny i organizacyjny nie powinien oczywiście odrywać nas od polskiej rzeczywistości. Ona winna być podstawą naszego działania. W warunkach polskich nierealnymi okazywałyby się zarówno działania, zasklepiające się w opłotkach zaściankowych, jak i wszelkie tendencje do urojeń, życia wyobraźnią i pustymi frazesami, bez żadnego oparcia o twardy grunt rzeczywistości, bez znajomości przemian, które w świecie następują, zdobyczy gdzie indziej osiąganych, bez dążenia do dostosowywania naszego życia do potrzeb i wymagań chwili, bez własnego wysiłku twórczego.

Dla zaścianka, jako symbolu małostkowego i wąskiego sposobu życia, nie będzie w Polsce miejsca. Zaścianek skończył się. Pozostała wszakże nabrzmiała krwią i potem ziemia, która jest dość wielka, by dać oparcie dla rozległego i mądrego systemu, o ile ludzie na niej żyjący potrafią nie tylko w czasie wojen i dziejowych trudności zdobywać się na wielkość w myśleniu i działaniu.

D. I.

CZY SAMOLOT ROZSTRZYGA BITWY?

1.II. b.r. uzazał się w *„Sunday Times“* bardzo interesujący artykuł P. Masefield'a p.t. *„Air lessons from Rommel's success“*. Autor, znany i ceniony korespondent wojenny, równocześnie taktyk (brytyjscy korespondenci wojenni są dobierani z pomiędzy taktyków władających także piórem) staje na stanowisku, że samolot tak długo nie będzie mógł rozstrzygać o sytuacji na polu bitwy, póki nie będzie w stanie sam, bez pomocy z ziemi, przełamać oporu przeciwnika, w tym wypadku — jego zmechanizowanych sił.

Pogląd ten wydaje się słuszny. Jeżeli chodzi o lotnictwo, działające na korzyść wojsk na ziemi, rozwój techniczny tego lotnictwa nie stoi na wysokości zadania. Czołgi wzięły górę nad samolotem. Na przykład niektóre samoloty brytyjskie jak „Hurricane“ czy „Beaufighter“ dałyby sobie radę z czołgiem z 1939 roku, czy nawet z 1940, jednak dziś ich 20 m/m pociski wyrzucane z działka szybkostrzelnego nie przenikają pancerzy nawet średniego czołga. Tak samo ma się sprawa z samolotami niemieckimi w odniesieniu do czołgów brytyjskich. Zarówno pancerz jak i inne zmiany techniczne uodporniły nowoczesny czołg nie tylko przeciw pociskom lotniczej broni mechanicznej, lecz nawet przeciw bardzo blisko wybuchającym bombom.

Z tego wniosek, który artykuł P. Masefield'a potwierdza w całej osnowie: albo obecne lotnictwo musi z góry ograniczyć się tylko do wypełnienia zadań pomocniczych na korzyść armii, albo — należy wprowadzić na pole bitwy nowe samoloty, specjalnie do walki z czołgami przystosowane.

Wypowiedziane tezy bynajmniej nie są nowością. Postawiono je już jakieś trzy lata temu po doświadczeniach 1939, a wzięto się do ich zrealizowania po 1940. Zdaje się, że pierwsi Rosjanie, nie wierząc (może i słusznie) w skuteczność nurkowca, zaczęli poszukiwać typu mogącego skutecznie walczyć z bronią pancerną. Czy udało im się go wybudować, nie wiadomo. Mówi się, że pod koniec roku 1941 eskadry tego typu działały na froncie południowym. Nic bliższego nie wiemy o osiągniętych przez nie wynikach.

Typy takie muszą być potężnie uzbrojone, oraz doskonale opancerzone. Opancerzenie samolotów to też rzecz nierewelacyjna. Lotnictwo szturmowe 1918 roku, zarówno po stronie niemieckiej jak i po stronie aliantów było opancerzane. Opancerzone są również i współczesne samoloty, szczególnie nurkowce i myśliwce. Naturalnie, nie należy sobie wyobrażać samolotu opancerzonego w postaci latającego czołga. Pilot nie patrzy przez peryskop wieżyczki osłoniętej stalową blachą. Po prostu opancerzane są tylko niektóre części techniczne, jak również pomieszczenie załogi, tam gdzie dojście kuli byłoby najbardziej szkodliwe. I tak np. wszystkie myśliwce mają płytę pancerną za głową pilota, chroniąc ją od strzału z tyłu. Naturalnie, pancerz ten dla samolotu pola walki musi być bardziej kompletny.

O ile tedy pancerz na samolocie, to rzecz znana i stosowana, to uzbrojenie w cięższe działo szybkostrzelne o kalibrze, szybkości początkowej i ciężarze działa 75 m/m, gdyż tylko takie działo da rezultaty przeciw czołgom — nie było jeszcze stosowane praktycznie.

Jakież są zadania, które na polu bitwy powinno wypełnić lotnictwo? Można je podzielić na trzy zasadnicze działy: rozpoznanie, odosobnienie pola bitwy, wreszcie — interwencja.

Zaczniemy od interwencji. Interwencja to działanie bezpośrednie przeciw nieprzyjacielowi, to niejako walka wręcz. W czasach, gdy walkę rozstrzygała rzeczywista siła mięśni i wyrobienie człowieka, rycerz średniowieczny rozbijał zbroję przeciwnika żelaznym młotem, albo przecinał mieczem, ukutym z lepszej niż pancerz stali. Dziś miecz, czy młot zastępuje pocisk. Pocisk musi przebić pancerz, musi wybuchnąć wewnątrz pancerza. By wypełnił zadanie, musi trafić. Przy szybkości, z jaką cel się porusza — musi być wieloraki. Działo musi mieć właściwości dubeltówki przy polowaniu na szybkie kaczki.

Niemcy stosują inny system. Zamiast pocisku wyrzuconego z działa wolą bombę. Dlatego z uporem stosują nurkowce. Nurkowce mają jednak wiele stron ujemnych. By uzyskać pewne rezultaty, trzeba ich używać masowo. Trzeba używać bez względu na straty, a są one zawsze olbrzymie, gdyż nurkowiec jest doskonałym celem dla obrony przeciwlotniczej z ziemi, jest łatwym łupem dla myśliwca. Poza tym z czystym sumieniem powiedzieć można, że 80% skuteczności lotnictwa nurkowego polega na działaniu moralnym. Realne rozwiązanie leży raczej w cięższej broni, niż w cięższej bombie.

Wracamy jednak do Libii i jej spraw. Zarzuty opinii publicznej *) zawierają się w pytaniach: dlaczego dowództwo brytyjskie nie wiedziało, że Rommel jest aż tak silny? Mówi się o przewadze lotnictwa brytyjskiego w powietrzu, gdzież więc samoloty rozpoznawcze? Czemu nie odkryły na czas zgrupowań?

Dalsze zarzuty tyczą już innej dziedziny zadań pola walki: zgadzamy się, że lotnictwo brytyjskie nie może walczyć z czołgami niemieckimi, dlaczego jednak nie zdoła odciąć zaopatrzenia od pancernych kolumn Rommla? Pocisk samolotu nie przebija pancerza czołga, lecz chyba z łatwością przebije cienki pancerz wozu amunicyjnego lub blachę cysterny z benzyną. Kolumny, zgrupowane jak w Libii, na jednej jedynej drodze są chyba także dość łatwym celem dla bombowców? Coś tu nie w porządku!

Pierwszy dział pytań tyczy zadania rozpoznania, drugi natomiast „izolacji“ — odosobnienia pola bitwy. Są to zadania par excellence — lotnicze.

Rozpoznanie lotnicze zarówno na szczeblu taktycznym, jak i strategicznym to sprawa obecnie bardzo delikatna i bardzo nieprosta. Z punktu widzenia technicznego właściwie jej w 100% nie rozwiązano. Weźmy pod lupę rozpoznanie pola bitwy. W roku 1918 nie sięgało ono głębiej w linie wroga jak 15-40 km. Dziś musi sięgać po 150, a może i 200 km. za front. Szybkość posuwania się kolumn pancernych czy motorowych jest bardzo duża. Odkrycie ich w odległości jednego dnia marszu wcale nie rozwiązuje sprawy. Gdy zostaną tam wykryte, już jest zaskoczenie.

Teraz, jeżeli o samoloty chodzi, rozpoznanie powinno być prowadzone maszynami, które mają daleki zasięg, są dość szybkie, by zawsze ujść myśliwcom, gdy zaś zostaną zaskoczone, są w stanie bronić się samodzielnie. Tedy szybkość ich musi przewyższać i to znacznie szybkość samolotu myśliwskiego, a uzbrojenie powinno być od myśliwca bezwzględnie silniejsze. Takiego samolotu chwilowo jeszcze nikt nie zbudował, a jeżeli zbudował, to nie w masowej produkcji. Czyli, jest to sprawa przyszłości. Wobec tego improwizuje się rozmaicie, używając do rozpoznań takich czy innych bombowców, albo wręcz myśliwców z wbudowaną kamerą fotograficzną. Tymczasem samotne bombowce nie mogą latać w terenie nieprzyjacielskim w jasny dzień (nocne rozpoznanie nie daje zadawalających rezultatów), gdy znowu myśliwce przeważnie posiadają niezwykle skrom-

*) Autor ma na myśli tegoroczną kampanię zimową. *Red.*

ny zasięg. Z wyjątkiem dwóch czy trzech typów przeciętny myśliwiec dłużej jak godzinę nie utrzyma się w powietrzu. Bombowiec, idący na rozpoznanie pod osłoną, jest zależny od zasięgu myśliwców.

Dochodzi do tego sprawa lotnisk. Samolot o dużym zasięgu, a więc obładowany paliwem, ciężko uzbrojony, a więc dźwigający kilka czy nawet kilkanaście k.m. czy armatek z amunicją, automatyczny a wcale skomplikowany sprzęt fotograficzny, często w dodatku kamerę telewizyjną nie jest lekki. Wymaga lotniska z dobrą bieżnią, conajmniej betonową. Takie lotniska znajdują się jedynie na tyłach wojsk walczących. Wprawdzie w tej chwili Amerykanie n.p. używają lotnisk „składanych", których nawierzchnie są zmontowane doraźnie z płytek aluminiowych czy bakelitowych, lecz istnienie takiego lotniska nie rozwiązuje jeszcze wcale zagadnienia budowy odpowiedniego samolotu.

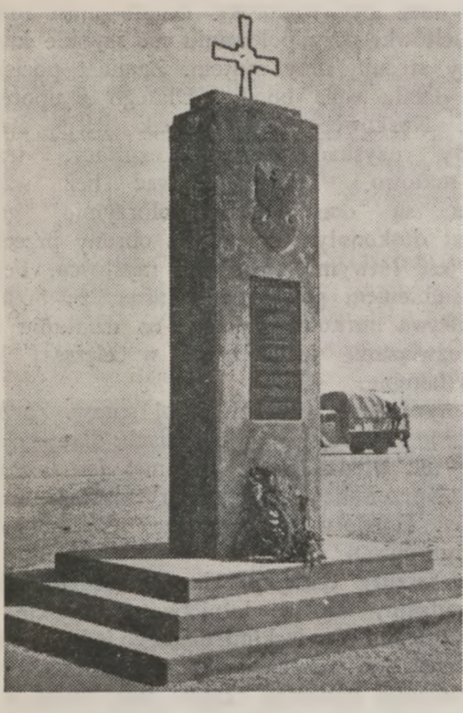
Przejdźmy do innej grupy zarzutów dotyczących „izolacji" pola walki. Izoluje się je od strony nieba, przeciw nieprzyjacielskim samolotom i na ziemi, nie dopuszczając zaopatrzenia do wojsk walczących. Otóż tego drugiego nie można w sposób dostateczny obecnymi środkami przeprowadzić. Zniszczenie 30% sprzętu — to marzenie wodza. Przecież bombardowanie skuteczne przeprowadzić można jedynie w dzień, a przy stosowanej silnej obronie przeciwlotniczej, tylko z dużych wysokości. Zaś wysokość jest funkcją trafności. Zaskoczenia z lotu koszącego są bardzo praktyczne i dają znakomite wyniki — ale można je stosować rzadko. W sumie z odcięciem zaopatrzenia od pola walki jest podobnie jak z blokadą. Zawsze coś przeciecze, a to coś to bardzo dużo.

Jaki wniosek z całości rozważań? Samolot współczesny nie stoi jeszcze na takiej wysokości technicznej, by mógł skutecznie wypełniać zadania, które mu powinny przypaść w udziale.

Rozwój broni mechanicznej naziemnej poszedł szybciej, niż rozwój broni powietrznej. Jest to zrozumiałe. Rozwiązanie konstrukcyjne wymagań stawianych sprzętowi ziemnemu jest łatwiejsze i nie staje wobec tylu złożonych trudności co konstrukcyjne problemy samolotu.

W rezultacie zasada postawiona przez kpt. Lidell Harta „tylko czołg jest najlepszą bronią przeciwczołgową" pozostaje nadal w mocy.

Adam Sterbałła
(*„Polska Walcząca"*)



Pomnik poległych żołnierzy polskich w Tobruku
(do art. „Z bojów...")

Z BOJÓW KARPACKIEGO PUŁKU ARTYLERII

(*Dokończenie*)

Na Tobruku nie zakończyła się działalność bojowa Karpackiego Pułku Artylerii.

Po uwolnieniu twierdzy bierze on udział wraz z całą Brygadą w dalszej akcji depcząc po piętach wycofującym się oddziałom wroga.

Wymarsz z Tobruku do walk ruchowych nastąpił w jak najlepszym nastroju. Jednakże artylerzyści mieli duże trudności zarówno w zakresie ilości, jak i jakości sprzętu motorowego, niezbędnego do dalszych działań, jakie zarysowały się w perspektywie, i to mimo starań uruchomienia choćby najstarszych pojazdów wszelakiego rodzaju i typu oraz mimo najdalej idącej pomocy ze strony dowódcy artylerii twierdzy.

Z Tobruku pułk wyszedł tylko w 24 działa z pierwszą linią amunicji (170-180 pocisków na działo). Niestety, sprzęt motorowy, który wówczas znajdował się w Tobruku, miał za sobą już poprzednią kampanię i pracę po ciężkich drogach tobruckich. To też po dwóch dniach marszu bez czasu na reperację z trudem dało się dalej ciągnąć 20 dział i podkreślić trzeba, że często lepsze wozy musiały wracać po pozostały w czasie marszu sprzęt.

W tym stanie pułk doszedł pod Gazalę. Okres pracy pod Gazalą był dla pułku jednym z najcięższych, lecz jednocześnie najpożyteczniejszych. Artylerzyści w tej bitwie starali się dać maximum pomocy rozumiejąc, iż natarcie bez czołgów na umocnionego nieprzyjaciela może być ciężkie, a przecież nacierała własna piechota — koledzy.

Po rozpoczęciu natarcia, pierwszego popołudnia, przygnietli nasi artylerzyści do ziemi celnym ogniem nieprzyjaciela, znajdującego się na szkarpie Carmused El Regem i wsparli skutecznie nacierające kariery oraz piechotę wysyłając swoje kariery obserwacyjne razem z natarciem piechoty.

W następnym dniu artyleria trzymała w szachu przygotowującego się do przeciwnatarcia nieprzyjaciela w rejonie Chestenaha i osłaniała skutecznie natarcie karierów na lewym skrzydle. Praca to była niezmiernie odpowiedzialna. Gdy się zważy, że gros amunicji, którą pułk miał ze sobą, wystrzelano pierwszego popołudnia, a uzupełnienia amunicji w ciągu następnego dnia nie dochodziły, aczkolwiek bitwa nie była jeszcze zakończona i trzeba było oszczędzać w tym dniu każdy niemal pocisk i nie można było dobrać się skutecznie do artylerii nieprzyjaciela, która w tym dniu najwięcej dokuczała naszej piechocie — można sobie wyobrazić, jak ciężkie chwile przeżywali wówczas polscy artylerzyści.

To też radość i odprężenie było wielkie, gdy około południa kwatermistrz pułku przywiózł kilkaset pocisków, a następnie w nocy kolumna transportowa przywiozła

Rodzaje Niemieckiej Siły Przemysłowej*)

Innym charakterystycznym przykładem lokaty kapitału amerykańskiego są zakłady „Opla", położone w dolinie Menu. Zajmują one obszar przeszło 4 razy większy niż nasza Stalowa Wola. Całą tę powierzchnię wypełniają zabudowania fabryczne. Z pośród nich wyrasta w niebo jedyny olbrzymi komin z nazwą przedsiębiorstwa, oświetlany nocą neonami. Oczywiście przed wojną.

„Opel" — widzi każdy z daleka, kto idzie, jedzie czy leci. Widzi tę nazwę długo i utrwala ją w swej pamięci na długo. I nie na próżno!

„Opel" — to największa w świecie fabryka rowerów i największa w Niemczech fabryka samochodów. Jej zdolność produkcyjna jest większą niż wszystkich razem niemieckich fabryk samochodowych.

Tak olbrzymie przedsiębiorstwo nie może ujść uwagi Amerykanów. Sprzyjają temu wypadki.

W r. 1928 Ford wypowiada Twu „General Motors Corporation" wojnę o zdobycie i opanowanie rynków światowych. „G.M." narzuconą walkę przyjmuje, a szukając zaplecza skierowuje swoją uwagę i swoje pierwsze kroki na rynek niemiecki. Uważa bowiem rynek ten za jeden z najbogatszych i najbardziej chłonnych.

„G.M." natrafia jednak na przeszkody, które wydają się nie do przełamania. Niemiecki mur celny i jego bariery podnoszą ceny wozu o jedną trzecią. Wóz, za który na amerykańskim rynku wewnętrznym płaci się 500 dolarów, z powodu niemieckich taryf kosztuje w Niemczech 750.

Aby obejść mur celny, uniknąć kosztów transportu a równocześnie trafić do patriotycznego niemieckiego odbiorcy, który chce nabyć tylko towar niemiecki, „General Motors" nabywają 80 procent udziałów w fabryce „Opel" płacąc za nie okrągło 30 milionów dolarów!

Od chwili przejęcia przez „G.M." produkcja „Opla" z każdym rokiem wzrasta. Według Ed. Polmera, na ogólną ilość 138.292 niemieckich samochodów, sprzedanych w r. 1929, przypada na „Opla" 32.832, t.j. około 24 procent. W łącznym eksporcie 8.784 wozów, wywiezionych w tym samym roku z Niemiec, zakłady „Opla" eksportują 2.408 wozów, czyli około 31 proc. W r. 1931, pomimo kryzysu, sprzedaż ogólna samochodów w Niemczech wynosi 68.682, z czego na „Opla" przypada 19.389 — 28,2 procent. — W tym samym roku cały niemiecki przemysł samochodowy wywozi za granicę 10.800 wozów, w tym „Opel" 7.092 wozy, czyli około 66 procent ogólnego eksportu samochodowego. A więc w ciągu dwu lat wywóz wzrasta z 31 proc. na 66 procent.

Zakłady „Opla" wysyłają wozy w skrzyniach na wszystkie krańce świata, do wielkich zakładów montażowych „G.M." w Antwerpii, do Kopenhagi, Sztokholmu, Buenos Aires, do krajów na Dalekim Wschodzie itd.

W wyniku walki konkurencyjnej między Fordem i „G.M.", zgodnie z zasadą: „gdzie dwóch się bije tam trzeci korzysta" — Niemcy mają już od r. 1928 jedną z najbardziej zmodernizowanych fabryk o kolosalnym potencjale produkcyjnym.

Naturalnie kapitał amerykański dopływał i do innych gałęzi przemysłu Niemiec. Jedną z takich gałęzi był przemysł elektryczny, w którym bardzo poważne sumy dolarowe znajdowały swą lokatę.

I tak znane niemieckie „A.E.G." (Allgemeine Elektrizität Gesellschaft) otrzymało około 30 milionów dolarów. Inne koncerny elektryczne dostały odżywkę dolarową również w bardzo poważnej dawce — około 18 milionów dolarów.

Suma blisko pięćdziesiąt milionów dla jednej gałęzi przemysłu niemieckiego, to już nie zastrzyk dla podtrzy-

*) Por. tegoż autora: „Za czyje pieniądze Niemcy prowadzą wojnę" w nr. 17 „Nasze Drogi" i „Źródła niemieckiej siły przemysłowej" w nr. 20 „Ku Wolnej Polsce".

---

wreszcie większą ilość amunicji, która przydała się tylko do ogni pościgowych, albowiem w ciągu drugiego dnia nieprzyjaciel nie podjął już żadnej kontrakcji zaczepnej.

Do pościgu z jednym z baonów poszła bateria, która w bitwie pod Gazalą oddała ostatnie strzały za uchodzącym nieprzyjacielem.

Bitwa pod Gazalą, trwająca trzy dni — 15, 16, 17 grudnia 1941 r. — zakończyła się pełnym sukcesem Brygady Karpackiej — przełamaniem frontu przeciwnika.

Po pewnym czasie, pod koniec grudnia ub.r. Karpacki Pułk Artylerii odszedł pod Bardię, gdzie bardzo skutecznie wspomagał ogniem swych dział natarcie piechoty południowo-afrykańskiej i czołgów brytyjskich, zakończone kapitulacją twierdzy. Artylerzyści nasi odparli m.in. silne natarcie niemiecko-włoskie, skierowane przeciw lewemu skrzydłu ataku Południowo-Afrykańczyków.

Praca bojowa pod Bardią była bardzo wydajna i pouczająca, choć bardzo ciężka. Artylerzyści nasi nie spali dwie kolejne noce, a kiedy obecny na pozycjach Dowódca W.P.Ś.W., gen. Zając, zwrócił im uwagę, żeby nie zapominali o odpoczynku, odpowiadali, że wypoczynek jest dla nich sprawą drugorzędnego znaczenia i z najzupełniejszym spokojem przyjmowali perspektywę jeszcze jednej nieprzespanej nocy.

W dniu 31 grudnia ub.r. Karpacki Pułk Artylerii wspierał z pełnym powodzeniem uderzenie prawoskrzydłowego baonu południowo-afrykańskiego. Sukces był w tym rejonie zupełny.

W akcji tej nasi artylerzyści w chwili zmieniania pozycji zagarnęli około 150 Włochów. Wspomnieć trzeba, że pułk dwukrotnie zmieniał pod Bardią stanowiska ogniowe, przy czym szczególnie ostatnia zmiana była bardzo trudna ze względu na pola minowe i silny ogień artylerii nieprzyjacielskiej.

Od ognia polskiej artylerii spłonęły pod Bardią składy benzyny nieprzyjaciela.

W czasie całego natarcia na Bardię nasi oficerowie łącznikowi do piechoty posuwali się w pierwszej linii nadsyłając doskonałe meldunki. Cały Karpacki Pułk Artylerii spełnił wtedy bez zarzutu swe zadanie.

Z pod Bardii artyleria polska ruszyła na zachód i po krótkim postoju w Cyrenaice wzięła udział razem z całą Brygadą Karpacką w zorganizowaniu obrony Mechili, celem osłony odejścia wojsk brytyjskich z zachodniej Cyrenaiki.

Ostatni etap działalności pułku, to praca na pozycjach obronnych pod Gazalą, gdzie artyleria nasza wspomagała ogniem polskie oddziały rozpoznawcze rozpędzając wielokrotnie kolumny pancerne nieprzyjaciela.

Gdy w marcu br. nadszedł rozkaz odejścia Brygady z pod Gazali na inne miejsce postoju, żołnierze współdziałających z nami oddziałów artylerii sojuszniczej wy-

mania wegetacji i egzystencji tego czy innego przedsiębiorstwa, ale potężna i niezwykle skuteczna siła regenerująca!

Tego rodzaju zagranicznym lokatom kapitału zawdzięcza swój rozwój niemiecki przemysł chemiczny, mający tak doniosłe znaczenie nie tylko w Rzeszy, ale na całym świecie.

To tylko przykłady. Jak już wspomnieliśmy, ogólna suma kapitałów amerykańskich, umieszczonych w Niemczech w latach 1926-1928, idzie w miliardy dolarów. O tym trzeba pamiętać, gdy się mówi o „cudownych" osiągnięciach gospodarki niemieckiej.

Janusz Dżugay

KRONIKA W. P. Ś. W.

WIZYTACJA ODDZIAŁÓW W.P.Ś.W. PRZEZ KS. GLOUCESTERU

W dniu 27 maja br. J.K.W. ks. Gloucestru — brat króla W. Brytanii Jerzego VI — który raz już odwiedził oddziały polskie w Egipcie, odbył ponowną inspekcję oddziałów W.P.Ś.W. Na miejsce inspekcji, „gdzieś w polu", przybył J.K.W. ks. Gloucesteru w towarzystwie dowódcy wojsk sprzymierzonych w Palestynie i Transjordanii gen. McConnell'a oraz wyższych oficerów brytyjskich. Na gości brytyjskich oczekiwał dowódca W.P.Ś.W. gen. dyw. dr Zając. Po powitaniu się wzajemnym dowódcy udali się na trybunę, udekorowaną barwami narodowymi brytyjskimi i polskimi. Rozpoczęła się defilada. Przed trybuną przeciągnęły w karnym ordynku wszystkie rodzaje broni W.P.Ś.W. Po defiladzie ks. Gloucesteru udał się do jednego z obozów polskich, gdzie w kasynie oficerskim podejmowany był przez Dtwo W.P.Ś.W.

Przed odjazdem ks. Gloucesteru odebrał raport i przeszedł w towarzystwie gen. Zająca przed frontem kompanii honorowej, przy czym orkiestra odegrała hymny narodowe brytyjski i polski.

OTWARCIE POLSKICH AUDYCJI RADIOWYCH Z JEROZOLIMY

W dniu 27 maja b.r. rozgłośnia jerozolimska nadała pierwszą audycję w języku polskim. Po odegraniu „Warszawianki" przemówił Kierownik Polskiej Służby Informacyjnej na Bliskim Wschodzie mgr. Władysław Kański, i Konsul Generalny R.P. w Jerozolimie Witold Korsak.

Polskie audycje radiowe z Jerozolimy są nadawane codziennie od godz. 13 do 13.30 czasu palestyńskiego na fali średniej 449.1.

Poszukiwania

Badjan Grzegorz, Henryk poszukuje Badjan Marii, Juliusza i Aleksandra.

Godymirski Czesław poszukuje Godymirskiego Tadeusza, b. wykładowcę w Szkole Kadeckiej we Lwowie.

Klimkowski Franciszek ze Skolego szuka rodziny.

Tobiasz Efraim poszukuje Kurzbarda Dawida z Puław, przebywał w Birżach na Litwie oraz Cukiermana Pinkusa z Łodzi, przebywał ostatnio gdzieś w Rosji.

Helerowa Stanisława poszukuje brata Fandycza Zbigniewa, ucznia gimnazjum ze Lwowa, zamieszkałego przy ul. św. Zofii, oraz kpt. Brodę Józefa z 6 P.A.C. — Lwów.

Poszukiwany Hanus Jakób. Ostatni adres w Rosji: Ostaszkowo, Kalininskaja Obłast, Pocztowyj Jaszcz Nr. 37.

Poszukiwany Michał Hauptmann z Mogielnicy pow. Trembowla, ur. 1924 w Krakowie.

Wszelkie wiadomości o wyżej wymienionych prosimy skierować do redakcji „Ku Wolnej Polsce".

---

rażali żal z powodu rozstania się z naszymi żołnierzami, z którymi mieli tyle wspólnych przeżyć wojennych.

Praca bojowa Karpackiego Pułku Artylerii znalazła pełne uznanie u przełożonych polskich i brytyjskich.

Dowódca artylerii korpusu brytyjskiego, brygadier Latham, w rozmowie z gen. Zającem wyrażał się w bardzo pochlebnych słowach o akcji naszego pułku stwierdzając, że widać, iż ma się do czynienia z bardzo doświadczonymi artylerzystami.

W piśmie swym do dowódcy 8-mej armii gen. Ritchie, przesłanym w odpisie do ppłk G., — dowódca artylerii korpusu, brygadier Latham tak pisze m.in. o Karpackim Pułku Artylerii:

„Jestem pewny, że żaden inny oddział nie byłby zdolny do wykonania — poczynając od 10 grudnia 1941 r. — równie wielu zadań, mając do rozporządzenia podobne środki transportowe."

Dowódca artylerii brytyjskiej Środk. Wschodu złożył na ręce gen. Zająca gratulacje dla polskiej artylerii, mówiąc o niej z entuzjazmem.

„Świetnie strzelają" — oświadczył na zakończenie.

Dowódca Wojsk Polskich na Środkowym Wschodzie gen. dr Józef Zając, który był naocznym świadkiem działań polskiej artylerii pod Bardią, scharakteryzował pracę Karpackiego Pułku Artylerii mówiąc w swym rozkazie do żołnierzy wydanym na polu bitwy:

„...Stwierdziłem wzorową pracę wszystkich artylerzystów od dowódcy pułku do kanoniera obsługi. Jestem szczęśliwy, że mogę gratulować Wam sukcesu, uwieńczonego kapitulacją nieprzyjaciela i wyrażam podziękowanie wszystkim, którzy — jak na żołnierza polskiego przystało — spełnili wzorowo swój obowiązek."

A dowódca Brygady Karpackiej gen. Stanisław Kopański udzielił dowódcy pułku i wszystkim jego żołnierzom pochwały „w imieniu służby", podkreślając w swym rozkazie doskonałość i konsekwencję dowództwa pułku, jak również niezwykłą sprawność wykonania zadań bojowych przez poszczególne oddziały artylerii naszej.

Niejeden z polskich artylerzystów z wzorowym żołnierzem, powszechnie lubianym dowódcą jednego z dywizjonów Karpackiego Pułku Artylerii śp. Majorem Emilem Sikorskim spoczywa dziś snem wiecznym na cmentarzu w Tobruku.

Stali się ci bohaterowie, co na polu chwały polegli — wzorem dla Karpackiego Pułku Artylerii, który po ciężkich trudach bojowych dziś na innym miejscu postoju do nowych zadań wojennych się sposobi, by wespół ze swymi towarzyszami broni z dalekiej Rosji rozpocząć decydujący bój z odwiecznym wrogiem wierząc w ostateczne Zwycięstwo.

„Gdzieś na Pustyni",
w kwietniu 1942 r.

Wacław Sikorski
porucznik

Dywizja Karpacka

Poprzez sybirskie burany,
palące piaski pustyni,
złączeni w bratnim uścisku,
wierząc, że chwila już bliska,
idziemy, Polsko, ku Tobie
odwalać kamień na grobie,
mścić Twoje krzywdy i rany,
łeb uciąć pruskiej gadzinie.

Daleka droga do Ciebie,
Ojczyzno, matko kochana!
Lecz, jako Bóg jest na niebie,
Dzień przyjdzie, z dawna czekany.

Ujrzymy znów
Warszawę, Kraków i Lwów;
zobaczyć nam będzie pilno
Poznań i Gdynię i Wilno.

Wszystko na drodze swej złamie,
gdy pójdzie tak ramię w ramię,
przez trud żołnierski i znój,
w ostatni, zwycięski bój —
i sztandar poniesie krwawy
w mury królewskiej Warszawy —
żelazna, chwacka, junacka
Dywizja nasza Karpacka.

W dali, jak fata-morgana,
co wraz się w oczach rozwieje,
w łąkach zielonych i kwieciu
lśni kraj najdroższy na świecie,
wyciąga ręce jedyna
w łzach ku mnie moja dziewczyna;
w kościołku słychać organy
i matki głowa bieleje.

Daleka droga do ciebie,
dziewczyno moja kochana!
Lecz, jako Bóg jest na niebie,
dzień przyjdzie, z dawna czekany.

Ujrzę cię znów
w uśmiechu, w ogródku bzów,
do piersi znowu przytulę
siwą gołąbkę-matulę.

Wszystko na drodze swej złamie,
gdy pójdzie tak ramię w ramię,
przez trud żołnierski i znój,
w ostatni, zwycięski bój —
i sztandar poniesie krwawy
w mury królewskiej Warszawy, —
żelazna, chwacka, junacka
Dywizja nasza Karpacka.

JÓZEF RELIDZYŃSKI

***



Ks. Gloucesteru w towarzystwie gen. dyw. Zająca przechodzi przed frontem kompanii honorowej.

Burza nad Niemcami

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

Chwilowemu wygasaniu „wielkiej bitwy pod Charkowem" towarzyszyło tym razem dość sensacyjne wznowienie walk na Zachodzie i w Afryce. Działania objęły zatem wszystkie te fronty, które w tej chwili otaczają „oś", co niewątpliwie jest zwiastunem ostatecznego zakończenia ciszy zimowo-wiosennej i rozpoczęcia doniosłych wydarzeń wojennych.

W dniu 30 maja komunikaty niemieckie obwieściły światu, że „wielka bitwa pod Charkowem" zakończyła się, oczywiście zwycięstwem Niemiec. Wojska niemieckie były już zajęte w tym czasie „okrążaniem" i „unicestwianiem" armii sowieckiej. Doniesienia moskiewskie z tego czasu były zgodne z niemieckimi w tym, że stwierdzały również „zakończenie" walk pod Charkowem, lecz jednocześnie dowodziły, że rozpaczliwe próby Niemców przedarcia się przez pewną, nie wymienioną rzekę, zapewne Doniec lub jego dopływ Oskol, zostały udaremnione skutecznym i zwycięskim oporem Rosjan. Obie strony były również zgodne w tym, że poniosły bardzo ciężkie straty. Walki na odcinku pod Charkowem stały się znowu pozycyjnymi.

Bitwa pod Charkowem została wszczęta, jak wiadomo, przez marsz. Timoszenko, który dywersyjnym uderzeniem w dniu 12 maja w stronę Charkowa oraz na linii Łozowaja—Krasnograd usiłował odciążyć wojska sowieckie, broniące zaatakowanego w dniu 8 maja Kerczu. W odpowiedzi na manewr Timoszenki Niemcy uderzyli na lewe skrzydło jego wojsk na linii Barwienkowo—Izjum z wyraźnym zamiarem okrążenia i dostania się na tyły wojsk sowieckich, walczących przed Charkowem. Celem tego kontrmanewru niemieckiego był Kupiańsk, leżący na wschód od Charkowa nad Oskolem. Niemcy jednak, jak sądzić można z doniesień sowieckich, dotarli tylko do Izjum nad Dońcem i tam zostali zmuszeni do okopania się. Wojska sowieckie nacierając na bardziej północnym odcinku posunęły się od 20 do 75 km. w kierunku zachodnim.

W oficjalnym komentarzu sowieckim stwierdzono pod koniec tych walk, że celem ofensywy rosyjskiej nie był Charków. Potwierdzałoby to nasze poprzednie wywody, że natarcie wojsk marsz. Timoszenki miało charakter przede wszystkim dywersyjny. Oprócz ułatwienia obrony Kerczu, który jednak musiał być oddany, chodziło zapewne marsz. Timoszence o przeszkodzenie przygotowywanej ofensywie niemieckiej na południowym odcinku frontu. Plan ten niewątpliwie częściowo udał się i zamiary niemieckie zostały pokrzyżowane, terminy dalszych uderzeń musiały ulec odroczeniu, a poniesione ciężkie straty wymagać będą przeprowadzenia w jednostkach niemieckich nowych przegrupowań i uzupełnień.

Nie znaczy to jednak, by siły Niemców zostały złamane. W Moskwie samej podkreślają, że obecne uspokojenie na froncie ma charakter ciszy przed nową burzą. Oczywiście, nie należy zapominać, że walki na odcinku Charkowa rozwinęły się z inicjatywy Rosjan, a nie Niemców. Były to walki o charakterze wstępnym, związane faktycznie z działaniami na Krymie. Wielka ofensywa niemiecka na Wschodzie jeszcze się nie rozpoczęła, ale dotychczasowy przebieg walk świadczy, że Niemcy mają na Wschodzie trudniejsze zadanie niż rok temu. „Okrążeniu" i „unicestwieniu" wojsk sowieckich nie towarzyszyły tym razem wielkie zdobycze terenowe ani też wdarcie się w głąb terenów sowieckich. Na Wschodzie do „Blitzu" jakoś dotąd nie doszło.

Próba ofensywy gen. Rommla w Libii miała i ma niewątpliwie na celu wsparcie działań niemieckich w Rosji, i stanowi zapewne część wielkiego planu strategicznego uderzenia na brytyjski Środkowy Wschód z dwuch stron, od północnego wschodu przez Kaukaz i od zachodu na Egipt. W rozkazie do swoich wojsk gen. Rommel zaznaczył, że obecne walki w Libii będą miały charakter „rozstrzygający". Uderzenia lądowe Rommla poprzedziły kilkumiesięczne naloty na Maltę, które prócz zniszczenia miast i wiosek maltańskich nie osiągnęły oczekiwanego przez Niemców celu.

Bitwę o Maltę Niemcy przegrali, w bitwie o Libię również nie idzie im lepiej. Rozpoczęli oni uderzenie w Cyrenaice w nocy z 26 na 27 maja. Postanowili wówczas bądź obejść pozycje brytyjskie od pustynnego południa, okrążając Bir Hakeim, bądź też uderzyć wprost na brytyjskie pola minowe w kierunku na El Adem i na Tobruk, który był głównym celem natarcia „osi".

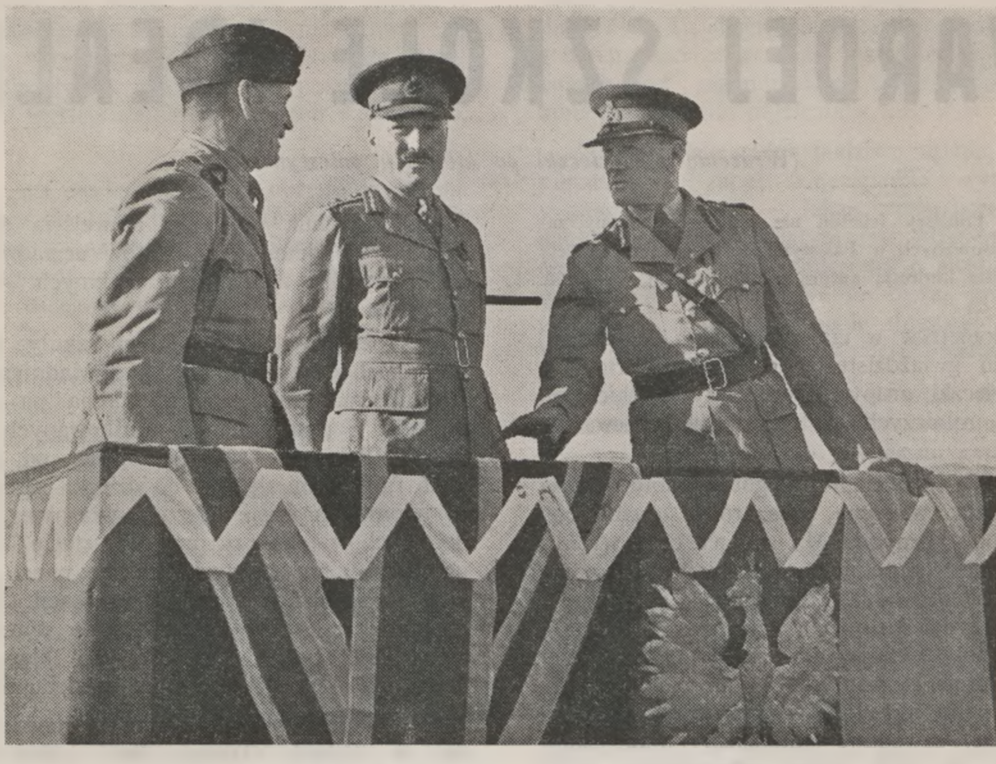
Obejście Bir Hakeim nie udało się. Zawiodły również początkowe wysiłki Niemców, by przebić sobie drogę między Acromą i wyniosłością zwaną „Rycerskim Mostem", gdzie rozegrały się największe walki czołgów na pustyni. Nie udały się również próby przedostania się na tyły pozycji brytyjskich pod Gazalą.

Dopiero po znacznych zmaganiach zdołali Niemcy i Włosi wyrąbać sobie korytarze przez brytyjskie pola minowe między Acromą i El Adem w kierunku na Tobruk. Czołgi niemieckie znalazły się m. in. w pobliżu znanych z poprzednich walk Sidi Rezegh i El Dudy. Niemcy przebili się tam na głębokość 25 km dwoma pasami, których szerokość wynosiła około 1½ km. Gdyby Rommlowi udało się utrzymać tę wyrwę i ściągnąć tam oddziały z odwodów, Tobruk zostałby zagrożony, a pozycje brytyjskie pod Gazalą i Bir Hakeim — odcięte.

Do akcji wystąpiło wszakże lotnictwo brytyjskie. Bombardowało ono tak skutecznie „korytarze" niemiecko-włoskie w kierunku Tobruku, że czołgom niemieckim, a nie brytyjskim zaczęło grozić okrążenie. Oprócz tego wprowadzono do akcji czołgi amerykańskie najcięższego typu i nowe działa ppanc. W chwili, gdy piszemy te słowa, zaczął się odwrót nękanych i rozbijanych formacji z „korytarzy" w kierunku zachodnim. Pierwsze spotkanie brytyjsko-niemieckie w tej nowej fazie walk w Libii zakończyło się zatem sukcesem brytyjskim, któremu premier Churchill poświęcił w Izbie Gmin w dn. 2 bm. dłuższe przemówienie.

Walki w Libii nie ustały, ale nowe uderzenie „osi" na Tobruk zostało zwycięsko odparte. Obie strony poniosły w walkach straty.Premier Churchill zaznaczył w Izbie Gmin, że 260 czołgów gen. Rommla uległo zniszczeniu lub zostało zdobytych. Dalszy przebieg zmagań będzie zależał od tego, która strona okaże więcej wytrzymałości i która będzie miała lepiej zorganizowane dostawy, odgrywające w walce pustynnej, jak wiadomo, zasadniczą rolę.

W Londynie zauważają, że położenie Rommla o tyle jest gorsze, iż zaryzykował on rzucenie wszystkich swych sił do akcji, pozostawiając słabe bardzo odwody na tyłach. Gdyby wojskom brytyjskim udało się osiągnąć zdecydowaną



Gen. Zając, gen. Ritchie i gen. Auchinleck po dekoracji dowódców brytyjskich orderem „Virtuti Militari".

przewagę nad wrogiem na froncie, droga w stronę Tripolisu stanęłaby otworem. Na razie wszakże musimy zadowolić się określeniem sytuacji w Libii przez premiera Churchilla, który stwierdził, że jest ona „zadawalająca". Jedno jest pewne: również w Libii, podobnie jak w Rosji, nie widać już „Blitzu" niemieckiego.

Rozpoczął się natomiast „lotniczy Blitz" brytyjski na Niemcy. Nalot przeszło tysiąca samolotów angielskich na Kolonię, a w 48 godzin potem na Essen jest wypełnieniem niedawnych zapowiedzi londyńskich kół oficjalnych. Nigdy w czasie największych swych sukcesów nie zdołali Niemcy zmasować takiej ilości bombowców i rzucić ich na jeden punkt. Dziś, w odwet za nalot na Kolonię Niemcy wysłali zaledwie ... 50 samolotów na Canterbury, by niszczyć tam z zemsty historyczne zabytki Anglii bez żadnego znaczenia strategicznego. Przewaga lotnicza sprzymierzonych na Zachodzie zaczyna święcić triumfy.

Sądząc z reakcji prasy i radia niemieckiego, Rzesza odczuła oba naloty bardzo boleśnie. Niemcy rozpoczynając wojnę nie spodziewały się, że wszczęta przez nich w tak nieludzki sposób walka lotnicza w Polsce obróci się w końcu przeciwko nim. Niedawno przecież Goering zobowiązał się słowem honoru przed narodem niemieckim, że żadna bomba wroga nie spadnie na miasta Rzeszy. Niemcy lubią wojować, ale na cudzych ziemiach. Rozkoszują się okrucieństwem, gdy sami mogą siać grozę wojenną, oklaskują burzenie miast, gdy są to obce miasta. Nie znoszą jednak, gdy wojna przenosi się na ich ziemie, gdy wdziera się do ich domów i do ich rodzin. Wówczas kończy się buta, pewność siebie i odporność „Übermenschów". Poza zniszczeniem ośrodków przemysłowych i węzłów komunikacyjnych, masowe naloty brytyjskie godzić będą zatem w najczulszy i najsłabszy punkt charakteru Niemców, w ich postawę moralną, w ich przywiązanie do wygód i do „Gemütlichkeit".

A przecież premier Churchill zapowiedział w swej mowie z 2 b.m., że jest to dopiero początek systematycznej ofensywy lotniczej sprzymierzonych, którą odczuje każde miasto niemieckie. Żadne pogróżki, żadne próby odwetowe Trzeciej Rzeszy nie powstrzymają Anglii od masowych bombardowań. Wzmogą się one jeszcze bardziej, gdy lotnictwo amerykańskie przystąpi również do dzieła i da odczuć Niemcom ciężar potencjału wojennego Stanów Zjednoczonych. Potężny front na Zachodzie, na razie lotniczy, został otwarty.

Na froncie wewnętrznym w Europie spotkał Niemcy również dotkliwy cios. Zamach na Heydricha, który był czołową postacią w systemie Trzeciej Rzeszy i obok Himmlera głównym organizatorem terroru w Europie, stanowi poważne ostrzeżenie dla przewódców berlińskich. Jest nowym dowodem, że wszelkie próby pozyskania przez Trzecią Rzeszę Europy zawiodły całkowicie. Europa jest przeciw Niemcom. Nie uzna ona nigdy obecnych podbojów. Nie pogodzi się z nimi. Wrzenie na kontynencie nie ustanie, dopóki Rzesza nie będzie pokonana. Niemcy osiągnęli swą szaleńczą polityką i obłędnym w swej pysze postępowaniem to, że są dziś najbardziej znienawidzonym narodem w Europie. Czy sądzą oni, że w takiej atmosferze zdołają zbudować jeszcze coś pozytywnego i trwałego? Nic też dziwnego, że troska coraz częściej przebija przez słowa przewódców „osi".

Włoski min. spraw zagr. Ciano wyznał, że przed Włochami leży jeszcze „długa i gorzka" droga walki. Przemawiając do nowo mianowanych oficerów w Berlinie Hitler wspomniał, że zadaniem dowódców nie jest „czczenie osiągniętych zwycięstw, ale opanowywanie trudnych sytuacji". Zamikły w Berlinie fanfary, jakimi parweniusze Trzeciej Rzeszy witali tam pyrrusowe zwycięstwa w Polsce, Belgii, Holandii i Francji. Hitler nie zaleca tracić już czasu na czczenie już osiągniętych, lecz jak okazało się, przemijających sukcesów. Nakazuje myśleć i pracować nad opanowaniem obecnej „trudnej sytuacji". Kłopoty w Rosji, porażki w Libii i bombardowania na Zachodzie — wszystko to świadczy, że nad Trzecią Rzeszą gromadzą się już chmury, zwiastujące wielką burzę, po której przyjdzie klęska.

D. I.

W TWARDEJ SZKOLE IDEALIZMU

(*Wrażenia z wycieczki po kibucach palestyńskich*)

Poniższy felieton nie jest próbą oceny zastosowanych w Palestynie form gospodarki, lecz tylko impresją autora z dwudniowej wycieczki.

Przeszło 700 kilometrów w ciągu niespełna 36 godzin. To nie wynik raidu gwiaździstego do Monte Carlo. To długość i czas wycieczki grupy dziennikarzy polskich do 10 różnych osiedli rolniczych w Palestynie, przeważnie typu t.zw. kibuców.

Wiedzieliśmy, że jest to ruch przygotowywany jeszcze w diasporze, czyli poza Palestyną, przez różne organizacje, potocznie zwane sjonistycznymi. Ma on na celu wytworzenie żydowskiej warstwy rolniczo-chłopskiej z ideowego elementu w celu skolonizowania Palestyny. W związku z tym, przed około trzydziestu pięciu laty podjęta została na szerszą skalę akcja skupywania ziemi od tubylczej ludności arabskiej. Akcję tą kontynuował potem specjalny fundusz narodowy zwany *Keren Kayemeth Leisrael.* Różne organizacje polityczne, zawodowe, młodzieży, m.in. skautowskie, prowadziły ze swej strony odpowiednią akcję ideową i wyszkoleniową, a także gospodarczą, celem obsadzenia nabytych gruntów emigrantami przybyłymi z krajów, w których istnieje znaczny odsetek mniejszości żydowskiej.

Przed oknami autobusu, sunącego serpentynową szosą z Jerozolimy do Tel-Avivu, przewija się różnolita wstęga krajobrazu palestyńskiego.

W miarę oddalania się od gór Judzkich kamieniste stoki wzgórz coraz częściej poprzerywane są tarasowo ułożonymi poletkami, wydartymi nieużytkom. Coraz częściej pojawiać się zaczynają łany zbóż, winnice, gaje pomarańczowe, tak zwane pardesy.

Uwagę jadących tą drogą zwracają kontrasty zmieniających się kolejno obszarów. Jedne nacechowane są szarą barwą orientalną z kamiennymi, typowymi zabudowaniami arabskimi oraz polami i ogrodami, otoczonymi żywopłotem kaktusowym. Inne znów — żydowskie — w których kaktus naturalny zastąpiono najczęściej sztucznym ogrodzeniem z drutu kolczastego, — skąpane w bujnej zieleni. W miastach kawiarnie arabskie, stale wypełnione bywalcami, wypoczywającymi przy nargilach, luzują ożywione ruchem handlowym zabudowania w na wskroś nowoczesnym stylu w „gładkie kostki". Niekiedy kontrast przybiera jaskrawą postać, gdy kable wysokiego napięcia z Rutenbergowskiej sieci elektryfikacyjnej biegną niemal tuż nad rozrzuconymi grobami muzułmańskiego cmentarza.

Pierwszym osiedlem, które obejrzeliśmy, była szkoła rolniczo-rzemieślnicza w Ben-Szemen.

Z małej zagrody powstała tu wielostronna szkoła, z piętnastoletnią już niemal tradycją. Zabudowania jeszcze przeważnie drewniane, skromne, ale schludne. Przechodząc od budynku do budynku i przemykając się przez różne opłotki oglądamy sale, w których dziewczęta kroją i szyją ubrania. W materiałach powtarzają się dwie barwy: biała i niebieska będące żyd. barwami narodowymi. W wielkiej stolarni przy warsztatach chłopcy wyrabiają proste meble. Szczególną dumę ich stanowi szafa, do której zmontowania nie użyto ani jednego gwoździa. W ogrodzie poza grządkami szczególną troską otoczone są gazony, pieczołowicie wyhodowane między wyniosłymi już drzewami parku.

Metaliczny huk wita nas u wejścia do warsztatów ślusarskich. W jednym z działów uczniowie wyspecjalizowali się w wyrobie zapalniczek, w innych — naprawiają różne narzędzia.

Z rozmów z kierownikami szkoły, wśród których nie brak pochodzących z Polski, dowiadujemy się, że szczupłe stosunkowo grunta nie pozwalają na utrzymanie całego zakładu z pracy niewykwalifikowanych jeszcze rąk młodzieży. Pobierane są więc opłaty od rodziców, sięgające do 6 funtów miesięcznie od dziecka za naukę i utrzymanie, co odpowiada ściśle kosztom własnym. Tak, jak w pracy dorosłych w polu czy przy warsztacie kobiety biorą udział na równi z mężczyznami, tak w nauce i wychowaniu panuje niepodzielnie zasada koedukacji. Nauka w szkołach obejmuje najczęściej okres szkoły powszechnej i średniej rzemieślniczej lub początkowych klas ogólnokształcącej. Trwa ona około dziesięciu lat, w wieku od 7 do 17 lat.

Nie dojeżdżając do wybrzeża morskiego zatrzymaliśmy się w Petach Tikwa, Bet Itzkel i kilku innych osiedlach, kolejno zapoznając się z dalszymi ich typami. W pamięci uczestników wycieczki pozostanie pobyt w zagrodzie indywidualnego gospodarza w Beth Itzkel, który wraz z rodziną udzielał szczegółowych wyjaśnień w sprawie zasad, na jakich łączone jest gospodarstwo indywiduale z zasadami spółdzielczymi. Drewniany, schludny domek nieco z miejska umeblowany. Właściciele otrzymali działkę na zasadach wieczystej dzierżawy, 99 letniej, od funduszu osadniczego po zobowiązaniu się do przestrzegania dwuch warunków: 1) uprawiania ziemi tylko własnymi i rodziny rękami albo drogą tak zwanej sąsiedzkiej pomocy, udzielanej solidarnie przez gminę i 2) sprzedawania swych płodów i czynienia wszelkich zakupów za pośrednictwem kooperatywy gminnej. W ten sposób nawet ci „indywidualni" osadnicy nie oglądają prawie wcale pieniędzy.

Warunek wyłączenia pracy najemnej podyktowany jest przekonaniem niektórych, że nie może być pracy najemnej bez wyzysku, a równocześnie ma na celu nie dopuścić do jakiejkolwiek konkurencji na rynku pracy osadnika żydowskiego z siłą roboczą arabskich tubylców. Tak powstała tam osada licząca ponad kilkadziesiąt rodzin dobrze zagospodarowanych. Wszędzie widzi się przeprowadzone nad ziemią na polach rury od sztucznego nawodnienia.

Po opuszczeniu Beth Itzkel widzieliśmy na polach zbóż, uprawianych zbiorowo, „kombajny" — żniwiarki połączone z młocarniami, które ciągnione przez traktor, odrzucały już nie snopki, ale powiązane worki z ziarnem.

Dalsza droga wiodła do właściwych kibuców, jak Miszmar Haemek lub Degania. Są to wszystko gospodarstwa już nie jednostkowe, ale kolektywne, założone przez grupy zgranych ideowo i wyszkolonych robotników rolnych. Niekiedy rekrutują się z kwuc, a więc grup zamkniętych, niekiedy są to zespoły otwarte, przyjmujące nowych członków. Z własnych wkładów i z kredytów t.zw. funduszu odbudowy kraju — *Keren Hayessod* i własną pracą zagospodarowują i uprawiają pewien obszar gruntu, zwykle około 100—400-hektarowy.

Z chwilą przystąpienia do kibucu, każdy obowiązuje się pracować na roli otrzymując w zamian pełne utrzymanie i od 60 do 100 piastrów *rocznie* na osobiste wydatki lub

koszty przejazdu na przysługujący urlop tygodniowy. Poza tym członek pieniędzy nie widzi. Również jego rodzina i dzieci są utrzymywane przez kibuc. Każdy ma prawo wystąpić z kibucu, ale w tym wypadku traci prawa do swego wkładu i otrzymuje tylko wyprawę w postaci rzeczy osobistych. Wypadki występowania są, jak nam wyjaśniono, stosunkowo rzadkie.

Praca w kibucu jest ciężka, zwłaszcza obecnie w okresie wojennej koniunktury dla rolnictwa, gdy równocześnie brak dopływu emigrantów z zagranicy i mobilizacja sił roboczych do wojska spowodowały niedostatek rąk do pracy. Musiano więc teraz wciągnąć młodzież szkolną.

Wszędzie widać szybko narastający dobrobyt. Nie brak elektrycznych kuchni przy wielkich jadalniach, prawdziwych fabrykach do wyżywienia ludzi. Są piekarnie, niekiedy zmechanizowane, wielkie pralnie, a przede wszystkim chlubnie świadczące o gospodarzach urządzenia kulturalne przy szkołach i niezależnie od nich. Oglądaliśmy pracownie przyrodnicze, biblioteki, nawet małe muzeum plastyczne, prowadzone przez malarza i aptekarza w jednej osobie, zbiory archeologiczne, zalążek instytutu palestynoznawczego, drukarnie, wydające lokalne gazetki i wydawnictwa oraz książki dla całego ruchu. Przy jednym z najmłodszych a jednocześnie najbardziej uprzemysłowionych kibuców znajdowało się lotnisko szkolne i hangar, w którym na poczesnym miejscu stały z Polski sprowadzone RWD-ziaki. Kilkudziesięciu lotników otrzymało już wyszkolenie w tym ośrodku lotniczym.

Mieliśmy też sposobność odwiedzić i prywatne kwatery członków. Świeżo przyjęci przechodzą zwykle nowicjat w namiotach. Bardziej zasłużeni mają własne, schludnie urządzone mieszkanka na rodzinę — bez dzieci — gdyż dzieci mieszkają w osobnych domach. W walce z szczupłością miejsca i ze względów higienicznych ubrania wieszane są w rodzaju szaf bez drzwi, stojących w podcieniu, na zewnątrz mieszkań. Rzecz możliwa tylko przy idealnym klimacie i należytej dyscyplinie społecznej mieszkańców.

Najlepiej mają się dzieci, dla których nie oszczędza się niczego. Koszt utrzymania dziecka wynosi 1,5 do 2 razy tyle co dorosłego. Co tylko nowego wymyśliła nauka w zakresie wychowania dzieci — stosuje się tu w praktyce. Dziecko rośnie w budynkach dostosowanych do swej wielkości i meble wszystkie są również odpowiednio przystosowane. Racjonalizacja doprowadzana bywa do krańca.

W niektórych szkołach zastosowano amerykańskie metody uczenia tematami w t.zw. szkołach pracy. Nie ma właściwych lekcji, ani podręczników, lecz tylko uczniowie otrzymują temat i materiały do jego opracowania, najpierw z najbliższego otoczenia, potem z dziedzin bardziej im odległych, i opanowują temat pod kierunkiem wychowawców.

Najciekawsza jest może szkoła charakterów, jaką otrzymuje młodzież szkolna. Od pierwszych lat zaprawiana jest we własnych ogródkach do pracy na roli od 1 do 4 godzin dziennie. W swych sprawach codziennych młodzież rządzi się od najwcześniejszych lat samodzielnie i demokratycznie. Dzieci tworzą autonomiczną republikę, w której obierają sobie kierowników, decydują przez własne władze lub zbiorowo o sprawach codziennych, porządkowych, pracy, a nawet o postępowaniu nauczycieli. Surowi to krytycy i bezkompromisowi, jednak, jak twierdzą wychowawcy, zwłaszcza w stosunku do siebie samych. Sądząc po wytrwałości i oddaniu się sprawie, jakie spotyka się wśród przedstawicieli pierwszego pokolenia młodzieży odchowanej już w tych zasadach, ta dość twarda w praktyce szkoła idealizmu i pracy daje dobre wyniki.

Mimo tych udogodnień panuje system 2 dzieci na rodzinę kibucową. Cyfra ta w gospodarstwach indywidualnych sięga 3½. Ta dysproporcja cyfr, pomimo wszystkich udogodnień, jakie stworzono dla dzieci i ich rodziców w kibucach jest zagadnieniem, które daje samym członkom kibuców wiele do myślenia.

Niewątpliwie godne podziwu są nie tylko wyniki pracy kibuców, ale i zapał, samozaparcie i wytrwałość, okazywane w pracy fizycznej — jakże często przez ludzi z cenzusem naukowym. Zrozumiałym jest więc ten patos, jakim nacechowane są ich oświadczenia o swej pracy. W trudnych warunkach, w jakich żyć im nieraz przychodzi, tylko nieustanne uświadamianie sobie stojącego przed nimi zadania może utrzymać pogodny i chętny nastrój.

Atmosfera ta utrzymuje się m.in. dlatego, że społeczeństwo palestyńskie składa się z elementu młodego, a starzec jest tu raczej wyjątkiem. Nieliczni zaś zasłużeni przewodnicy ruchu traktowani są niemal jak mędrcy czy prorocy.

O nastrojach wśród młodych świadczy jeszcze jeden fakt. Dobrowolny wkład społeczeństwa palestyńskiego w walce o nowy demokratyczny ład na świecie wyraża się w osiedlach cyfrą ochotników, idących do wojska, sięgającą 10% rąk roboczych. Do tego dochodzi wysiłek włożony na zorganizowanie specjalnej policji dla osiedli żydowskich. Jej członków w dużych kapeluszach z podwiniętymi rondami spotykało się w każdym ośrodku. Żydzi uświadomili sobie fakt, iż bez datku krwi nie da się scementować na tym padole płaczu wspólnoty narodowej, ani żadnego trwałego tworu państwowego.

Na wieczornicy w Ein Harod, na pograniczu Samarii i Galilei, doszło do wymiany przemówień. Zabierał głos przedstawiciel kibucu i przewodniczący grupy dziennikarzy polskich. Przysłuchiwali się im liczni członkowie kibucu, pochodzący z Polski, którzy zebrali się tłocznie, aby — jak mówiono — zobaczyć polskie twarze i usłyszeć polską mowę. Obie strony życzyły sobie spełnienia zamierzeń i stwierdzały brak jakichkolwiek rozbieżności w dążeniach wzajemnych. Dowcipnie streścił sens moralny tych oświadczeń przedstawiciel wydziału prasowego Agencji Żydowskiej, dawny sprawozdawca parlamentarny z sejmu. Stwierdził mianowicie — czyniąc aluzję do konieczności tłumaczenia mów, gdyż część mówców władała tylko hebrajskim, — że czasem dwa narody porozumiewające się dwoma językami przy pomocy tłumaczy łatwiej dochodzą do porozumienia, niż gdy posługują się jedną, wspólną mową.

Następnego dnia zwiedziliśmy w Afikim las zasadzony przed kilkunastu laty na z górą 100 ha. Wśród chojaków i cyprysów panowała atmosfera daleka od pustynnej czy ugornej barwy Środkowego Wschodu. Na bardziej miniaturową skalę wyhodowano również park sosnowy przy sanatorium, urządzonym w kibucu Giwat Brenner. Założono go niewątpliwie z myślą o emigrantach z Polski, którzy — jakże by — nawet w Palestynie — mogli się obyć bez „swego rodzimego"... Otwocka.

Dzięki sprawnej organizacji wycieczki zdołaliśmy zobaczyć conajmniej 10 wielkich ośrodków na ogólną liczbę 180, wśród których jest około 100 kibuców. Ten ruch osadniczy jest dziełem 40 tys. członków, rekrutujących się z półmilionowej ludności żyd. w Palestynie. Wszystko, co widzieliśmy, wskazuje, że po uzyskaniu „siedziby narodowej", którą uważają za zadatek samodzielnego państwa, Żydzi zdołali wydobyć z siebie taki wysiłek pracy i organizacji, który wzbudza szacunek u każdego nieuprzedzonego widza, zwłaszcza jeśli patrzy się na te zjawiska ze strony ich bezspornych wartości wewnętrznych. *On.*

Z żołnierskiej wędrówki*)

We wrześniu 1941 do Bejrut w Syrii zawinął okręt, przysłany przez rząd Vichy po odbiór żołnierzy francuskich, wymienianych w zamian za angielskich jeńców.

Kiedy na pokład wkroczyły władze angielskie w postaci australijskich oficerów, zjawiło się przed nimi 5 postaci ludzkich mocno zmiętoszonych, mrużących oczy nienawykłe do dziennego blasku, przecież srodze czupurnych i stukających w obcasy.

Okazało się — że i tu wzeszły niepytane, nieproszone „polonezy", zielę przedziwnie mocne, wyrastające po wszystkich kątach świata, gdzie się formuje wojsko.

Kapitan statku, Francuz, wezwany i zainterpelowany przez Australczyków, co znaczą ci nieanonsowani pasażerowie, otrzymał na swoje pytanie: „skądeście się, u licha, wzięli na mojej skorupie?" — odpowiedź w nieposzlakowanej francuszczyźnie:

— *Mon capitaine, je regrette infiniment, mais je ne peux pas vous dire cela...*"

Ale mnie opowiedzieli.

UCIECZKA GÓRAMI

W obozie dla zdemobilizowanych Polaków w Marsylii wrzało. Jaki to tam był obóz! Tyle, że ewidencja... Płacili pobory zaległe, na przyszłość nie wiadomo było co będzie.

Tłamszą się po „kafejkach". Klną w żywy kamień. „Po cholerę mam gdzie znowu szukać, łeb nastawiać, żeby mnie wykiwali..." Ale jak co do czego — coraz to popijawa pożegnalna i „goście brykają przez granicę". Co z nimi się dzieje — wieści nie przychodzą.

Podporucznik lotnictwa Janek D., który właśnie zdobył sobie u kolegów przydomek „Janko ryzykant" umawia się wraz z dwoma innymi oficerami „dać dęba" przez granicę hiszpańską.

Proszę tylko zauważyć jak język polski jest bogaty w wyrażenia,— określające ucieczkę: Uciec, zbiec, ulotnić się, zniknąć, wywiać, dać nura, dać dęba, dać drapaka, nogować, grzmieć, dymać, dać chodu, bryknąć. Wszystkie prawie te określenia mają w sobie odcień zadziornego komizmu.

„Bryknąć" więc mieli w trójkę wieczorem 2 października 1940. Rano tegoż dnia „Janko ryzykant" idzie do jednego z nich — widzi w oknie jakichś dwuch cywilów za porządnie ubranych jak na nasze bractwo. Jeden z tych wymuskańców wybiegł na spotkanie moje — mówi Ryzykant — i odwija klapę, jako że jest z „Sureté".

Okazuje się, że kolega wracał z popijawy tradycyjnie poprzedzającej „bryknięcia" i w wylewnym nastroju ducha zatelefonował, żegnając się, do kolegi w innej miejscowości na wybrzeżu. Poczciwina wypaplał wszystko, do adresów i nazwisk włącznie, z czego podsłuch skorzystał.

A teraz inicjator za to jechał z dwoma eleganckimi panami do prefektury policji.

Zwłaszcza gruby komisarz się pieklił o to, o jakich to łapówkach była mowa. Kolega się żalił, że nie mamy 6.000 fr., bo byśmy otrzymali wizę.

No cóż — w takich razach delikwent daje tak głupie odpowiedzi, że istotnie szlag może trafić. Ja, autor, pamiętam, że kiedy mnie do więzienia rosyjskiego zabrano z jakąś nielegalną proklamacją, odpowiedziałem, że mi ją wręczył jakiś blondyn. Moim kolegom nie dopisywała pomysłowość i powtarzali na badaniach, że cokolwiek mieli kompromitującego, zawsze im dawał jakiś bliżej nieokreślony blondyn, który ich zaczepiał na ulicy. Żandarm próbował ryczeć, próbował kpić, próbował apelować do inteligencji, do pomysłowości, ironizował, aż wreszcie dał pokój i każdemu z rezygnacją wpisywał blondyna do protokołu zeznań.

Kiedy wrzaski o *stupidité* i per *imbecile* nie pomogły, z zemsty zapakowano Ryzykanta do starego więzienia na wyspie, w którym ongi siedział hr. Monte Christo. W więzieniu siedział w celi, po której ciekła woda, za kratami, których słoń by nie rozwalił. Przez pierwsze 36 godzin nie dostał pożywienia. Siedział 27 dni. Kiedy go uwięziono ważył 67 kg., kiedy wychodził na wolność pozostało z niego 52 kg.

Na wolność wypuścił go sędzia śledczy, który kazał zdjąć kajdanki, w których przywieziono Ryzykanta, ubolewał że to jest dla niego „pénible" mieć taką sprawę i zakończył tem, że „przestępca" ma meldować się dwa razy dziennie w policji.

Na wolności — już go spotkały wieści o tych, którzy poszli na zieloną granicę przez Hiszpanię. Jeśli nawet przeszli posterunki francuskie, w samej Hiszpanii wyłapywano Polaków bez litości. Obozy hiszpańskie miały być grobem za życia. Jeden z kolegów Ryzykanta zdołał przeszwarcować do niego list: „Janek — nie waż się uciekać tędy. Jestem skończony do końca wojny. Fizycznie wykańczam się powoli."

DRUGA UCIECZKA — MORZEM.

Organizuje się ucieczka do Afryki, by stamtąd się przedzierać do Anglii, mówi mój informator. — Sformowaliśmy grupę trzydziestu wojskowych, nad którą komendę objął kapitan zawodowy. Od paru dni trzymani byliśmy w ostrym pogotowiu. Nie mieliśmy brać żadnych rzeczy. Każdy włożył po parę kompletów bielizny, napchał do kieszeni co mógł. Ja nadto na sznurku na piersi uwiązałem „Visa" — świetny polski rewolwer. Odradzali mi, ale mówiłem, że na nim jest orzeł polski, że to jest talizman i że ze mną do Polski dojedzie.

Pogotowie było już zarządzane kilkakrotnie i odwoływane. Korciło mię, bo za kilka dni był wyznaczony w sądzie termin mojej sprawy — tej o pierwszą ucieczkę.

31 stycznia — była czwarta nad ranem — zawieziono nas do portu. Był deszcz rzęsisty i za ogrodzenie portu dostaliśmy się niezaczepieni przez nikogo. Szalupa przewiozła nas do 1500 tonowca *„Chateau Pavie"*. Po spuszczonej drabince cichcem wdrapaliśmy się na pokład, gdzie dwaj marynarze bez słowa zaprowadzili nas do jakiegoś najdolniejszego magazynu, w którym brnęliśmy po kostki w mroźnej wodzie.

Pak było tylko parę — nie wszyscy równocześnie mogli siedzieć. Staliśmy jeszcze dwie doby w porcie bez światła, bez gorącego jedzenia, jedząc to, co każdy miał ze sobą, załatwiając akty fizjologiczne do tejże chlupiącej pod nogami wody. Całe szczęście, że paki okazały się beczkami z winem, do któregośmy się dobrali, co nas na razie nieco ratowało. Potem jednak połączenie odurzenia alkoholowego z nieznośną męczarnią stania w ciemności w lodowatej wodzie (był styczeń) powiększało raczej cierpienia.

Okręt ruszył wreszcie, ale przez dzień jeszcze byliśmy w tej kąpieli. Nikt do nas nie zaglądał, nie śmieliśmy wołać. Ale jasne było, że nie dojedziemy. Czwartego dnia zajrzeli do nas nasi opiekunowie i przeprowadzili nocą do jakiejś komórki przy kominach. Pierwsza rzecz, którąśmy odczuli ze zwierzęcą ulgą, była, że odczuliśmy suchość i ciepło. Niebawem jednak odczuwać poczęliśmy duszność z pyłu węglowego. W ciemności czuliśmy dotykiem na twarzach gęsty osad kopciu.

Posiłkując się kompasem, zegarkiem i lamką elektryczną my, lotnicy, obliczaliśmy, że płyniemy na Tunis, a nie na Casablankę. Pocieszaliśmy się, że statek musi iść zygzakami ze względu na wojnę.

Ale kiedy okręt zatrzymał się na Korsyce, którą widzieliśmy przez szpary w deskach, straciliśmy wszystkie nadzieje. Było jasne, że nie jedziemy tam, gdzieśmy byli zadysponowani, że jedziemy wiele bardziej na Wschód, do Tunisu, gdzie Włosi mają wielką władzę.

Pocieszaliśmy się, że może to nam wyjść na dobre, gdy posunie się ofensywa angielska. Podczas, gdy ci, co trafią do Algieru, będą się głowić jak się przedostać dalej, my tu pierwsi powitamy Anglików.

Okazało się istotnie, że będziemy pierwsi — ale w mamrze...

(D.c.n.) *Jerzy Łużyc*

---

*) Patrz tegoż autora: „Nasze Drogi — Jak to było w Rumunii?" w nr. 10 „Ku Wolnej Polsce" z 31.XII.41.

HUMOR ŻOŁNIERSKI

Przez Pomarańczowe Okulary

Chwalić Boga nareszcie już twardy gront pod nogami poczułem. Przyjechaliśmy do tej Palestyny, czyli mówiąc religijnie Ziemi Święconej.

Już mi ta jazda tak obrzydła, że jak samochód z daleka zobacze to nerwowy choroby czyli drgawków dostaje i benzynom mi zaraz w nosie za przeproszeniem śmierdzi. Tak mi te szemrane w gorące temperature dokuczyli, że jak tylko przypomne sobie te jazde, to zaraz mnie głowa boli, jakby nie przymierzając skorpion mnie swojem ogonem w makówkie zaiwanił. A już najgorzej to z tom fata mruganom było. Jedziesz bracie ściśnięty i skręcony jak rolmops, pić ci sie chce jak cholera, żebyś mógł całe cysterne oranżlady wyżłopać, w manierce pusto na 5 dni przed końcem dekady — i widzisz przed sobo cały staw wodom napełniony. Łapiesz za manierkie, a tu ci na dwa kroki woda pod piasek sie chowa. Nie dosić na tem. Oglondasz sie na bok, a tu zaraz w okoliczności drugi staw, jeszcze większy sie znajduje, palmy na brzegu rosnom i w wodzie sie nawet odbijajom. Zaiwaniasz bracie na pełnym gazie aż ci język do zembów sie przykleja i co — cholera jasna — znowu fata mrugana! Tak bracie z ciebie pustynia frajera struga i w butelkie cie nabija. Potem to już nie dałem na kawał się nabierać. Na postoju koleżka mój, także samo z Warszawy (do jednej opuszczonej mężatki na Saskie Kiempe my chodzili) mówi do mnie: „Te, frajer, na obiad wołajom, menu na 4 części sie dziś rozkłada, popatrz jaka odpowiedzialna kuchnia, chociaż pod namiotem sie znajduje.“ A ja mu na to: — „Nie ma frajerów, ja sie na kawał nie dam brać, to także samo fata mrugana, czyli tłumacząc ci naukowo wyobrażenie optymistyczne.“

Jak my na palestyńskom ziemie wjechali również pod tym wzglendem nie chciałem wierzyć, że to w rzeczywistości takie landszafty sie tu znajdujom. Uśmiechałem sie z letka jak koleżki moje sie cieszyli, że pod palmamy z dziewczynkami będą filtrować i sceny egzotyczne z filmów uskuteczniać. — „Wy myślicie tumany perskie za grany szarpane, że to jest naturalistyczne zjawisko te zielone ogródki, jako też te białe wilie ze śtachetamy?“ —— „Lipa — ja wam mówie — lipa, naciąganie porządnych facetów — fata mrugana, wiadomo, znam sie na tem. Wy lejki jesteście w tej materii!“ — Dopiero jak mi dali pomarańcze, a także tego gorszego kiepfruta — to uwierzyłem faktycznie i na to konto 35 pomarańczów jednym ciągiem wtranżoliłem. Może bym jeszcze więcy w ten deseń mógł opchnąć, ale mi sie już angielskie cygaretki skończyli i nie było za co handel wymienny z Beduinami uskuteczniać.

Od tej pory to na te Palestyne przez pomarańczowe okulary patrze i codziennie rekord w opychaniu pomarańczów ustanawiam. Można powiedzieć, że olimpijczyk pod tym wzglendem jezdem.

Fachtycznie, to nawet niezgorzej jest w tej ziemi obiecanej. Co tam dużo gadać. Kraj piwem i zupom z ogórkami płynący. Kurtula tu jest jak cholera. Gazety, komunikaty, kino udźwienkowione, pryskające zimnom i ciepłom wodom łazienki masz, przepustkie nawet możesz otrzymać i do miasta sie w niedziele wypuścić na romantyczne polowanie za sarenkamy, co po polsku nawet gadać umiejom. Kantyny także samo mamy niezgorsze, tylko szkoda, że kantyczek w nich nie ma. Forse nam teraz w kilogramach czy drugich funtach czyli wymiarach cienżkości płacom i życie mi faktycznie bajkom sie wydaje, co pomarańczowe zabarwienie posiada. Koleżka mój zegarek sobie już kupił od jednego naszego rodaka, co tu z Radomiu przyjechał. Zegarek, nie można powiedzieć, ładny jest, chodzi głośno jak cholera, że nieboszczyka na sąd ostateczny mógłby obudzić, tylko jeden mały feler posiada, bo wskazówki sie nie obracajom. Koleżke od serca tu jednego spotkałem. Ledwo mnie poznał, taki ważny teraz. Panem kapralem go zrobili. W Brygadzie, w samej Brygadzie Karpackiej sie znajduje, pod Tobrukiem i tem drugiem Gzale był i makaroniarzom lanie spuszczał, że im gitary i senoryty z głowy wywietrzyli i mało portek nie pogubili, tak przed jego drużynom dawali fraka. Opowiadał mi jeszcze drugie historie, że można by było powieść spisać i po 500 milsów za sztukie opylać. On nawet odpowiedzialnie sie nosi, długie spodnie, eleganckie koszule i tąkąż samo furażerkie posiada i jak sam sztabowy oficer wygląda. (Ale z bliska to nie, bo mu morde w ciemne i deszczowe noc fasowali.) Mówił, że my, to niby ci, co z Rosji przyjechali to dla niego jako drugorzędne wojsko sie przedstawiamy, ale zobaczy jeszcze łachudra jedna za te długie szorty szarpany, że jak my sie z Brygadom spikniemy i razem zaczniemy hitlerowców czyli skopów naparzać, to im sie taki Gronwald przyśni, jakiego sam Matejko na swem lanszafcie nie wymalował. Żebym taki zdrów był, że im takie swastyki z facjatów wyciśniem, że ich rodzona prababka w piontem pokoleniu nie pozna! Polskie wojsko kolonialne jesteśmy — czy nie, do cholery!

Musowo, że kolonialne, bo nie tylko kolonie, ale Hamburg i Berlin zdobendziem i za wszystkie nasze wsie i miasta spalone, a także samo za stołeczne Warszawe, odpłacim i taki wycisk zrobim, że popamientajom co znaczy Polaków zaczepiać i draki z niemi szukać. Jak pragne znowu pod „100“ trzema szczeniakamy śledzia żołondek przepłukać, że tak musi być. I będzie, wiadomo, że będzie.

Janusz Wedow

Z żołnierskiej wędrówki*)

We wrześniu 1941 do Bejrut w Syrii zawinął okręt, przysłany przez rząd Vichy po odbiór żołnierzy francuskich, wymienianych w zamian za angielskich jeńców.

Kiedy na pokład wkroczyły władze angielskie w postaci australijskich oficerów, zjawiło się przed nimi 5 postaci ludzkich mocno zmiętoszonych, mrużących oczy nienawykłe do dziennego blasku, przecież srodze czupurnych i stukających w obcasy.

Okazało się — że i tu wzeszły niepytane, nieproszone „polonezy", zielę przedziwnie mocne, wyrastające po wszystkich kątach świata, gdzie się formuje wojsko.

Kapitan statku, Francuz, wezwany i zainterpelowany przez Australczyków, co znaczą ci nieanonsowani pasażerowie, otrzymał na swoje pytanie: „skądeście się, u licha, wzięli na mojej skorupie?" — odpowiedź w nieposzlakowanej francuszczyźnie:

— *Mon capitaine, je regrette infiniment, mais je ne peux pas vous dire cela...*"

Ale mnie opowiedzieli.

UCIECZKA GÓRAMI

W obozie dla zdemobilizowanych Polaków w Marsylii wrzało. Jaki to tam był obóz! Tyle, że ewidencja... Płacili pobory zaległe, na przyszłość nie wiadomo było co będzie.

Tłamszą się po „kafejkach". Klną w żywy kamień. „Po cholerę mam gdzie znowu szukać, łeb nastawiać, żeby mnie wykiwali..." Ale jak co do czego — coraz to popijawa pożegnalna i „goście brykają przez granicę". Co z nimi się dzieje — wieści nie przychodzą.

Podporucznik lotnictwa Janek D., który właśnie zdobył sobie u kolegów przydomek „Janko ryzykant" umawia się wraz z dwoma innymi oficerami „dać dęba" przez granicę hiszpańską.

Proszę tylko zauważyć jak język polski jest bogaty w wyrażenia,— określające ucieczkę: Uciec, zbiec, ulotnić się, zniknąć, wywiać, dać nura, dać dęba, dać drapaka, nogować, grzmieć, dymać, dać chodu, bryknąć. Wszystkie prawie te określenia mają w sobie odcień zadziornego komizmu.

„Bryknąć" więc mieli w trójkę wieczorem 2 października 1940. Rano tegoż dnia „Janko ryzykant" idzie do jednego z nich — widzi w oknie jakichś dwuch cywilów za porządnie ubranych jak na nasze bractwo. Jeden z tych wymuskańców wybiegł na spotkanie moje — mówi Ryzykant — i odwija klapę, jako że jest z „Sureté".

Okazuje się, że kolega wracał z popijawy tradycyjnie poprzedzającej „bryknięcia" i w wylewnym nastroju ducha zatelefonował, żegnając się, do kolegi w innej miejscowości na wybrzeżu. Poczciwina wypaplał wszystko, do adresów i nazwisk włącznie, z czego podsłuch skorzystał.

A teraz inicjator za to jechał z dwoma eleganckimi panami do prefektury policji.

Zwłaszcza gruby komisarz się pieklił o to, o jakich to łapówkach była mowa. Kolega się żalił, że nie mamy 6.000 fr., bo byśmy otrzymali wizę.

No cóż — w takich razach delikwent daje tak głupie odpowiedzi, że istotnie szlag może trafić. Ja, autor, pamiętam, że kiedy mnie do więzienia rosyjskiego zabrano z jakąś nielegalną proklamacją, odpowiedziałem, że mi ją wręczył jakiś blondyn. Moim kolegom nie dopisywała pomysłowość i powtarzali na badaniach, że cokolwiek mieli kompromitującego, zawsze im dawał jakiś bliżej nieokreślony blondyn, który ich zaczepiał na ulicy. Żandarm próbował ryczeć, próbował kpić, próbował apelować do inteligencji, do pomysłowości, ironizował, aż wreszcie dał pokój i każdemu z rezygnacją wpisywał blondyna do protokołu zeznań.

Kiedy wrzaski o *stupidité* i per *imbecile* nie pomogły, z zemsty zapakowano Ryzykanta do starego więzienia na wyspie, w którym ongi siedział hr. Monte Christo. W więzieniu siedział w celi, po której ciekła woda, za kratami, których słoń by nie rozwalił. Przez pierwsze 36 godzin nie dostał pożywienia. Siedział 27 dni. Kiedy go uwięziono ważył 67 kg., kiedy wychodził na wolność pozostało z niego 52 kg.

Na wolność wypuścił go sędzia śledczy, który kazał zdjąć kajdanki, w których przywieziono Ryzykanta, ubolewał że to jest dla niego „pénible" mieć taką sprawę i zakończył tem, że „przestępca" ma meldować się dwa razy dziennie w policji.

Na wolności — już go spotkały wieści o tych, którzy poszli na zieloną granicę przez Hiszpanię. Jeśli nawet przeszli posterunki francuskie, w samej Hiszpanii wyłapywano Polaków bez litości. Obozy hiszpańskie miały być grobem za życia. Jeden z kolegów Ryzykanta zdołał przeszwarcować do niego list: „Janek — nie waż się uciekać tędy. Jestem skończony do końca wojny. Fizycznie wykańczam się powoli."

DRUGA UCIECZKA — MORZEM.

Organizuje się ucieczka do Afryki, by stamtąd się przedzierać do Anglii, mówi mój informator. — Sformowaliśmy grupę trzydziestu wojskowych, nad którą komendę objął kapitan zawodowy. Od paru dni trzymani byliśmy w ostrym pogotowiu. Nie mieliśmy brać żadnych rzeczy. Każdy włożył po parę kompletów bielizny, napchał do kieszeni co mógł. Ja nadto na sznurku na piersi uwiązałem „Visa" — świetny polski rewolwer. Odradzali mi, ale mówiłem, że na nim jest orzeł polski, że to jest talizman i że ze mną do Polski dojedzie.

Pogotowie było już zarządzane kilkakrotnie i odwoływane. Korciło mię, bo za kilka dni był wyznaczony w sądzie termin mojej sprawy — tej o pierwszą ucieczkę.

31 stycznia — była czwarta nad ranem — zawieziono nas do portu. Był deszcz rzęsisty i za ogrodzenie portu dostaliśmy się niezaczepieni przez nikogo. Szalupa przewiozła nas do 1500 tonowca *„Chateau Pavie"*. Po spuszczonej drabince cichcem wdrapaliśmy się na pokład, gdzie dwaj marynarze bez słowa zaprowadzili nas do jakiegoś najdolniejszego magazynu, w którym brnęliśmy po kostki w mroźnej wodzie.

Pak było tylko parę — nie wszyscy równocześnie mogli siedzieć. Staliśmy jeszcze dwie doby w porcie bez światła, bez gorącego jedzenia, jedząc to, co każdy miał ze sobą, załatwiając akty fizjologiczne do tejże chlupiącej pod nogami wody. Całe szczęście, że paki okazały się beczkami z winem, do któregośmy się dobrali, co nas na razie nieco ratowało. Potem jednak połączenie odurzenia alkoholowego z nieznośną męczarnią stania w ciemności w lodowatej wodzie (był styczeń) powiększało raczej cierpienia.

Okręt ruszył wreszcie, ale przez dzień jeszcze byliśmy w tej kąpieli. Nikt do nas nie zaglądał, nie śmieliśmy wołać. Ale jasne było, że nie dojedziemy. Czwartego dnia zajrzeli do nas nasi opiekunowie i przeprowadzili nocą do jakiejś komórki przy kominach. Pierwsza rzecz, którąśmy odczuli ze zwierzęcą ulgą, była, że odczuliśmy suchość i ciepło. Niebawem jednak odczuwać poczęliśmy duszność z pyłu węglowego. W ciemności czuliśmy dotykiem na twarzach gęsty osad kopciu.

Posiłkując się kompasem, zegarkiem i lamką elektryczną my, lotnicy, obliczaliśmy, że płyniemy na Tunis, a nie na Casablankę. Pocieszaliśmy się, że statek musi iść zygzakami ze względu na wojnę.

Ale kiedy okręt zatrzymał się na Korsyce, którą widzieliśmy przez szpary w deskach, straciliśmy wszystkie nadzieje. Było jasne, że nie jedziemy tam, gdzieśmy byli zadyrygowani, że jedziemy wiele bardziej na Wschód, do Tunisu, gdzie Włosi mają wielką władzę.

Pocieszaliśmy się, że może to nam wyjść na dobre, gdy posunie się ofensywa angielska. Podczas, gdy ci, co trafią do Algieru, będą się głowić jak się przedostać dalej, my tu pierwsi powitamy Anglików.

Okazało się istotnie, że będziemy pierwsi — ale w mamrze...

(D.c.n.) *Jerzy Łużyc*

---

*) Patrz tegoż autora: „Nasze Drogi — Jak to było w Rumunii?" w nr. 10 „Ku Wolnej Polsce" z 31.XII.41.